

Australia - odcinek 4. Wyprawa pod Równik

Postanowiłam wyjechać z Sydney, aby chociaż trochę poznać kontynent. W Strathfield, niedaleko naszego domu, zobaczyłam kiedyś biuro podróży, w którym panie mówiły po polsku. Poprosiłam je o ułożenie mi takiego programu, abym mogła poznać ciekawsze zakątki Australii. Zabrałyśmy się za przeglądanie katalogów, naradziłyśmy się, oceniłam koszty i wkrótce miałam gotowy i zapłacony projekt, który składał się z 4 wycieczek:

- Morze Koralowe - Rify.
- Rain Forest - Deszczowy Las - Kuranda.
- Tjapukai - wioska Aborygenów - obrzędy ludowe.
- Busz - fauna i flora na Antypodach.



Najpierw jednak mocno zaskoczyła mnie istotna informacja, którą na koniec zakomunikowała mi pani z tego biura. Otóż okazało się, że nie zabierze mnie na te wycieczki jakiś autokar startujący z Sydney, lecz będę musiała sama pokonać odległość około 3 tys. km na północ Australii, żeby dostać się do Cairns. Dopiero stamtąd rozpoczynały się te cztery eskapady. Byłam przekonana, że organizator przejmie opiekę nad uczestnikami już w Sydney. Dopiero kiedy podpisałam czek i spytałam o miejsce zbiórki, pani odrzekła: ZBIÓRKA JEST W CAIRNS! Ładne kwiatki. To prawie na drugim końcu Australii - jak z Polski do Hiszpanii. Taka perspektywa dla mnie - z moim prawie zerowym angielskim - nie była miła.

Wycofać się już nie chciałam. Narobiłabym kłopotu z anulowaniem czeku, a ja nie należę do osób, które sprawiają problemy. W wyznaczonym dniu spakowałam rzeczy i Arek zawiózł mnie na lotnisko.

Mógł mnie odprowadzić tylko do głównego wejścia. Z odprawą i resztą spraw musiałam poradzić sobie sama. Nie było to proste. Wcześniejsze moje wyjazdy zagraniczne były komfortowe. Kupowałam ofertę biura turystycznego w moim mieście i jedynym zadaniem było dotrzeć do lotniska w Balicach. Teraz stanęłam przed trudnym egzaminem mojej zaradności i samodzielności.

Terminal krajowy w Sydney. Nie jest taki duży jak międzynarodowy, ale też można się tu pogubić.



Przemierzałam halę wzdłuż i wszerz. Nic nie rozumiałam z angielskich komunikatów, wpatrywałam się w dziesiątki liczb na monitorach i szukałam wśród nich namiaru na mój gejt. Chodziłam od Annasza do Kajfasza i pokazując bilet różnym napotkanym osobom trafiłam w końcu do ramowego punktu mojej odprawy.

Komunikaty podawały aktualne informacje o zmianach gejtów, o opóźnieniach, ale dla mnie był to jeden wielki potok absolutnie abstrakcyjnych słów. Samoloty startowały co kilka minut i nie zawsze to, co było napisane na bilecie, mogło pokrywać się ze stanem faktycznym. Ależ podżyłam strachu.

W końcu cudem się odprawiłam i wkrótce znalazłam się we właściwym samolocie. Po kilku godzinach znalazłam się w północnej Australii, na wysokości równoleżnika sąsiadującego z równikiem, czyli w mieście Cairns.

Z czasem, czyli za dwa lata dobitnie okaże się, iż dobrze się stało, że pewnych rzeczy wtedy nie byłam świadoma. Bo jednak bym tej atrakcyjnej oferty biura podróży nie przyjęła. I co za tym idzie, w przyszłości nie miałabym okazji zweryfikować swoich charakterologicznych możliwości, by zmierzyć się z o wiele trudniejszymi sytuacjami.

Niekiedy lepiej nie wiedzieć, co nas czeka. Nie jesteśmy wówczas uprzedzeni, a życie pokaże, że całkiem dobrze sobie poradziliśmy. Oczywiście nie mam na myśli brawury.

Lotnisko w Cairns - pierwszy cel osiągnięty.

Kiedy z perspektywy czasu wspominam ten lot, wszystko wydaje się takie proste. Jednakże kiedy tu leciałam, miałam mieszane uczucia, czy moja psychika ten wycieczkowy plan udźwignie. Czy poradzę sobie z ogromem nowych sytuacji. Był to dla mnie wielki egzamin zaradności i samodzielności.

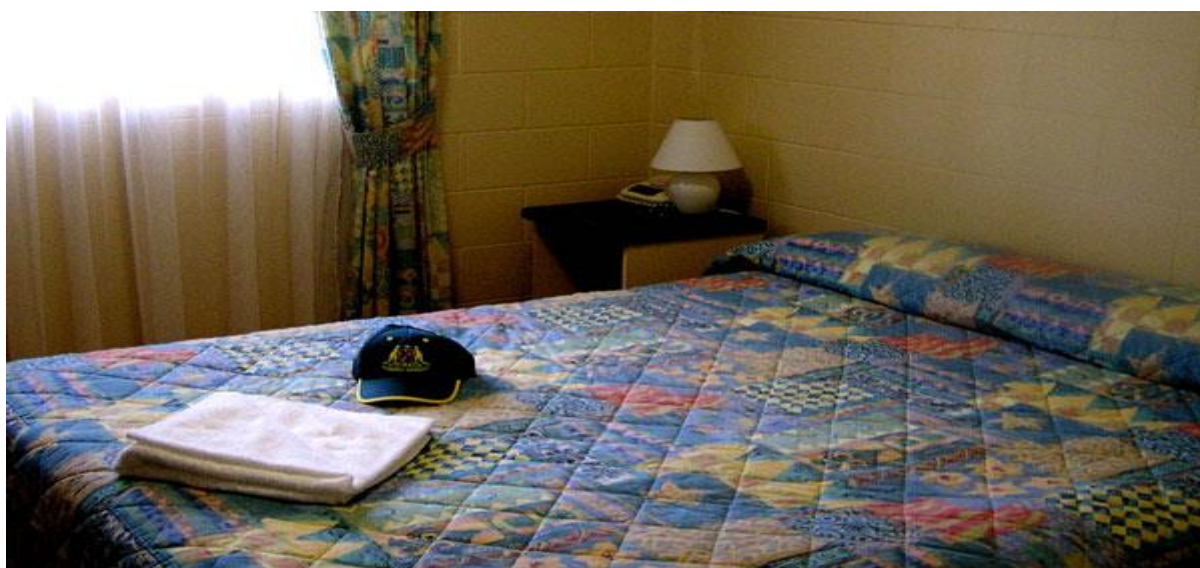


„Nawet tysiącmilowa podróż, zaczyna się od jednego kroku” - Laozi.



Na tym lotnisku, wedle jeszcze w biurze podanej instrukcji, należało odnaleźć turystyczny aparat telefoniczny, z którego za darmo miałam połączyć się z moim hotelem i przekazać recepcji, aby mnie odebrano, transfer był w cenie. Jednak za chiny ludowe nie mogłam tego aparatu namierzyć, bo wszystkie wyglądały identycznie. Podeszłam więc do sympatycznie wyglądającego pana. Pokazałam mu kartkę z nazwą hotelu i numerem telefonu, a potem prośzącym spojrzeniem miałam nadzieję, że on znajdzie właściwą słuchawkę i w moim imieniu zadzwoni. Ze słowami: Sorry, my english is zero - patrzyłam mu prosto w oczy i czekałam na dalszy rozwój wypadków. Jeśli powiesz komuś, że Twój angielski jest słaby, to zacznie do Ciebie głośniej mówić. Jeśli natomiast powiesz, że Twój angielski jest na poziomie zero, to zacznie uruchamiać wszystkie swoje szare komórki, aby Ci pomóc. Tak to mniej więcej działa.

Pan zachował się jak gentleman. Zadzwonił do hotelu, zamówił dla mnie transfer i po niespełna godzinie odpoczywałam już przy basenie i dziękowałam Bogu, że tak szczęśliwie zakończył się ten etap. Ucichły emocje, odetchnęłam z ulgą:)



Resztę dnia przeznaczyłam na rekonesans po Cairns. Miasto liczy ok. 130 tys. mieszkańców i przyciąga turystów ze względu na dogodną lokalizację portu lotniczego i największą na świecie rafę koralową.



Kasyno.



Kwitnący figus. W naturze wiele jego gatunków może tworzyć takie kwiatostany kilka razy w roku, a zapylają je maleńkie osy figowe.



Poprosiłam panią z recepcji, nadal zgodnie z instrukcją, aby powiadomiła przewodnika, że jestem już na miejscu i jutro rano jadę z nim na wycieczkę. To akurat nie było trudne, bo tekst miałam napisany fonetycznie jeszcze w Sydney. Pogoda była piękna, słoneczna, co mnie wprawiało w doskonały nastrój. Już dość miałam deszczu i zacinającego w Sydney mroźnego wiatru.

Procedura moich wycieczek była taka, że bus, jeep lub autokar, w zależności od liczby zapisanych osób, wraz z przewodnikiem zabierał spod różnych hoteli poszczególnych uczestników różnych narodowości, wioził nas w konkretne miejsce i tam realizowany był program. Wyjeżdżaliśmy zawsze rankiem, a wracaliśmy późnym wieczorem.

Przewodnik był anglojęzyczny. Wielu ciekawych informacji, które nam podawał, nie rozumiałam. Zdecydowanie muszę ostro wziąć się za angielski.

Tak więc poznawałam ten nowy dla mnie świat przede wszystkim oczyma i sercem.

Wielka Rafa Koralowa

O świcie wyruszamy autokarem do oddalonego o 64 km ekskluzywnego Port Douglas. Ciepło, słonecznie, przyjemnie. Wyczytałam, że Wielka Rafa Koralowa to największy system raf koralowych na świecie i jest widoczna nawet z kosmosu. Zamieszkują ją tysiące gatunków ryb, koralowców i innych organizmów morskich.



Droga prowadzi niemal cały czas wzdłuż pięknego oceanicznego wybrzeża. Trasa jest kręta, ale bardzo dobrze utrzymana. Już sama jazda to atrakcja.





Port Douglas. Blichtru dodają mu okoliczne wille i zakotwiczone jachty miejscowego establishmentu. Port jest niewielki, ale bardzo zadbane i tętniący turystycznym życiem, z restauracjami i kawiarniami przy nabrzeżu. To stąd wyrusza większość rejsów na Wielką Rafę Koralową. Z portu odpłyniemy wielkim katamaranem 70 km na Morze Koralowe, które jest częścią oceanu.





Katamaran jest nowoczesny z pokładem widokowym i wygodnymi miejscami do siedzenia. Podczas rejsu można podziwiać ocean, a załoga dba o komfort pasażerów. Prędkość katamaranu wynosi około 40 km/h, a że ma on stabilną konstrukcję, podróż przebiega gładko.





Podczas rejsu na horyzoncie pojawiła się piękna tęcza, malując wodę i niebo żywymi kolorami. Ten moment dodał podróży bajkowego charakteru.





Na pokładzie czas płynie przyjemnie. Kelnerzy serwują nam rozmaite potrawy, zakąski i napoje. Katamaran rozbryzguje toń Morza Koralowego i zmierza do celu. Po niespełna dwóch godzinach docieramy do zakotwiczonej platformy. To kres tego rejsu.



Wkrótce w małych, odliczonych skrupulatnie grupach, będziemy schodzić do specjalnej podwodnej łodzi, by w głębi morza podziwiać zaczarowany świat wielobarwnych raf.

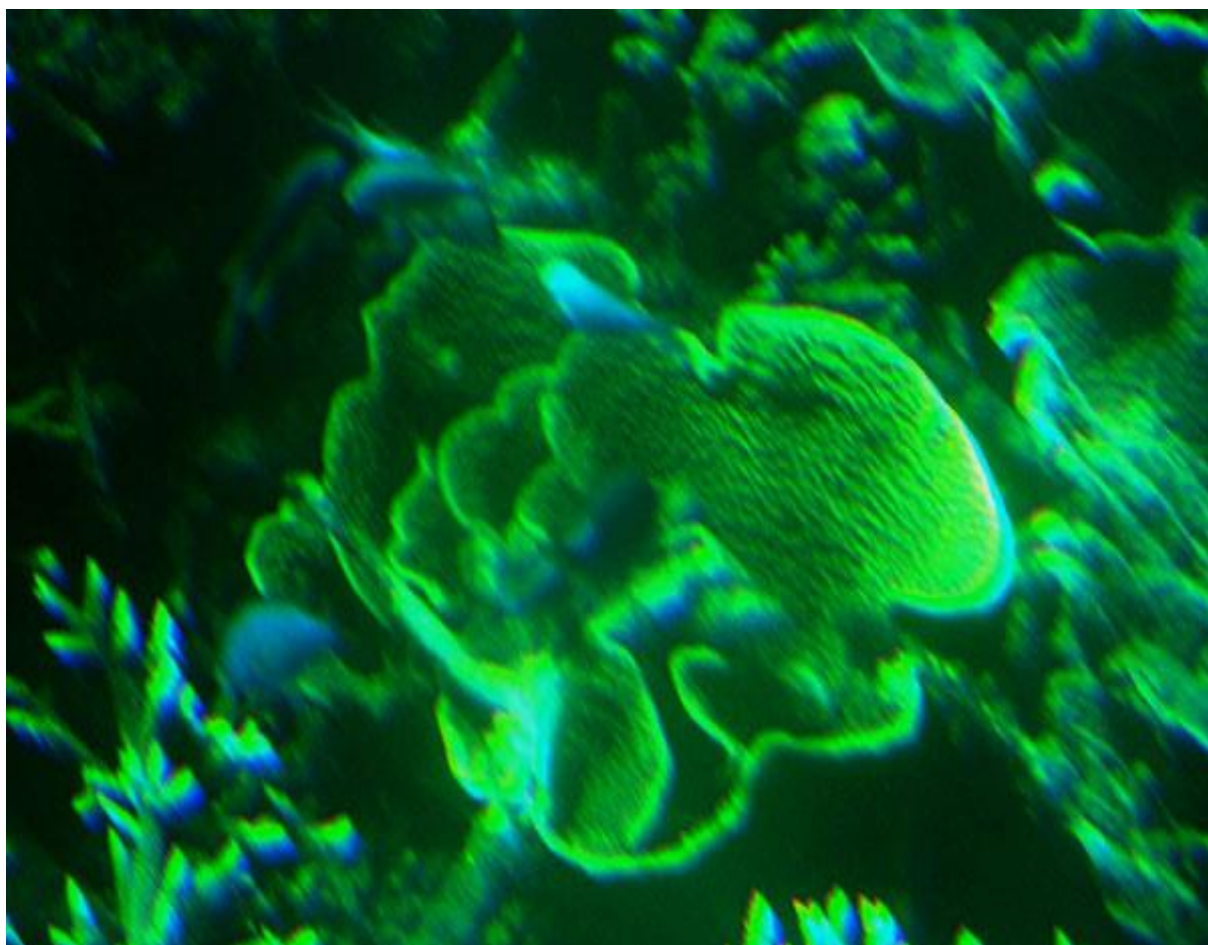
Jesteśmy w centrum jaśniejących na morzu pałacy koralowców.



Dla odważnych krótki kurs nurkowania i już można pod czujnym okiem instruktora, przyglądać się rafom z bliska. Ja nie czuję się na siłach, by założyć taki kombinezon, więc popatrzę na koralowce z łodzi podwodnej.

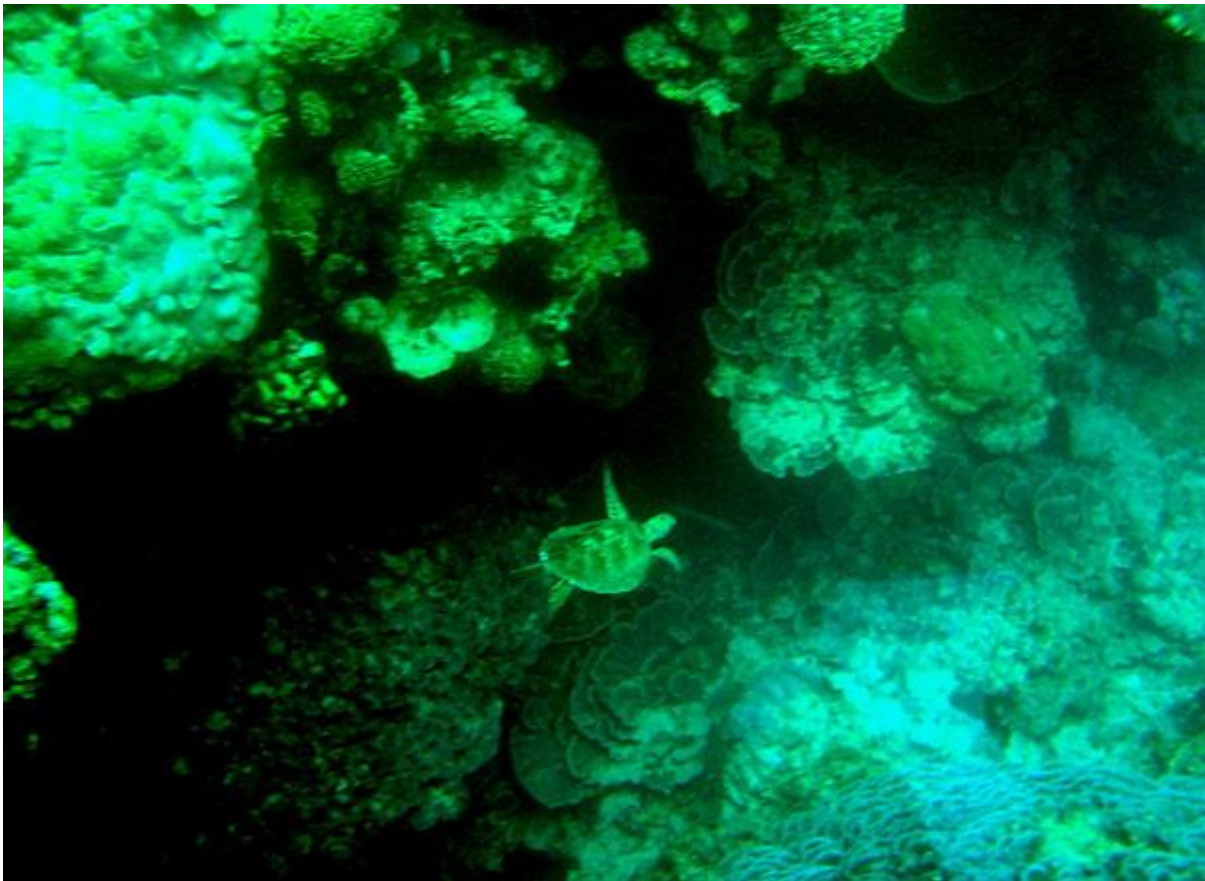


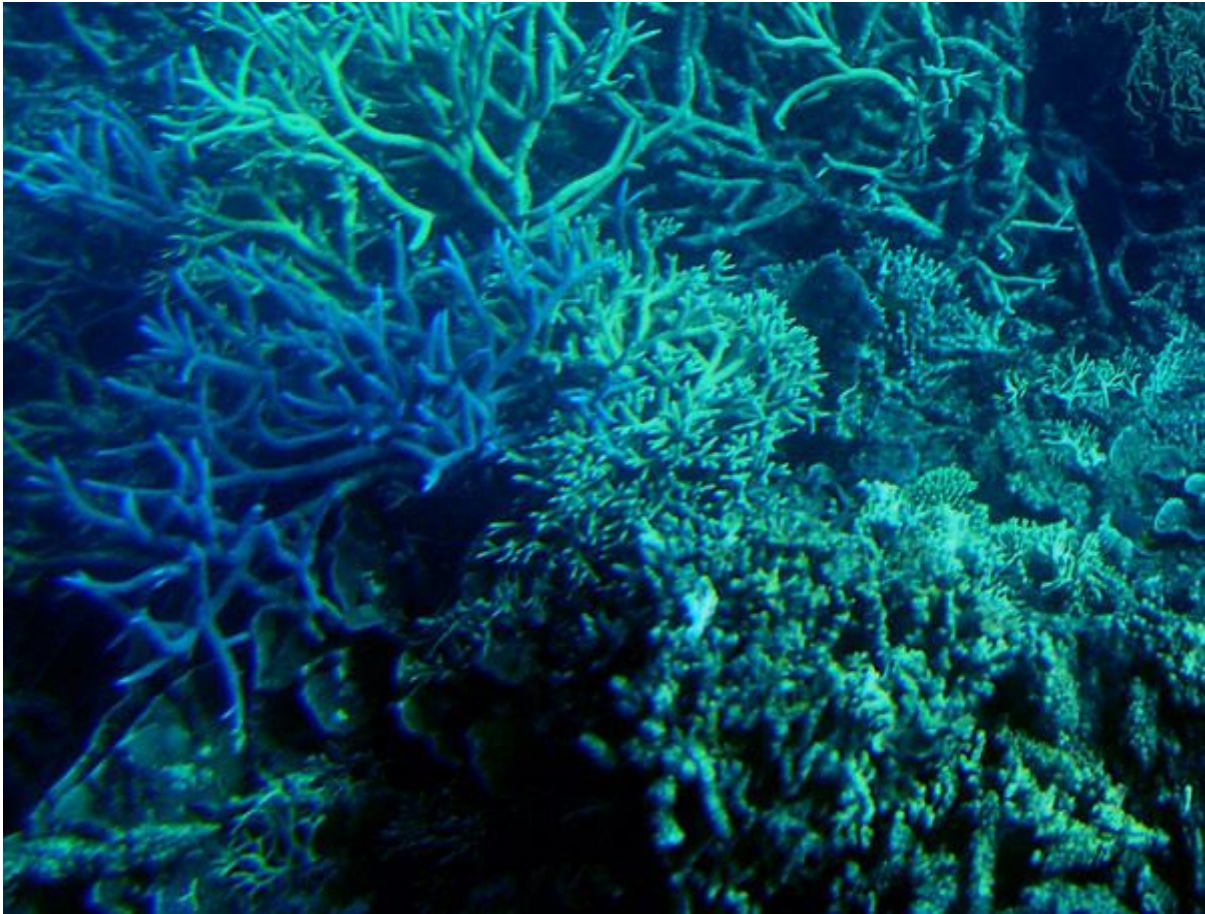
Łódź podwodna to właśnie takie oszklone urządzenie. Opada kilkanaście metrów w głąb morza i można przez szybę podziwiać rafy. Za chwilę poczujesz się jak w baśni z 1001 nocy.

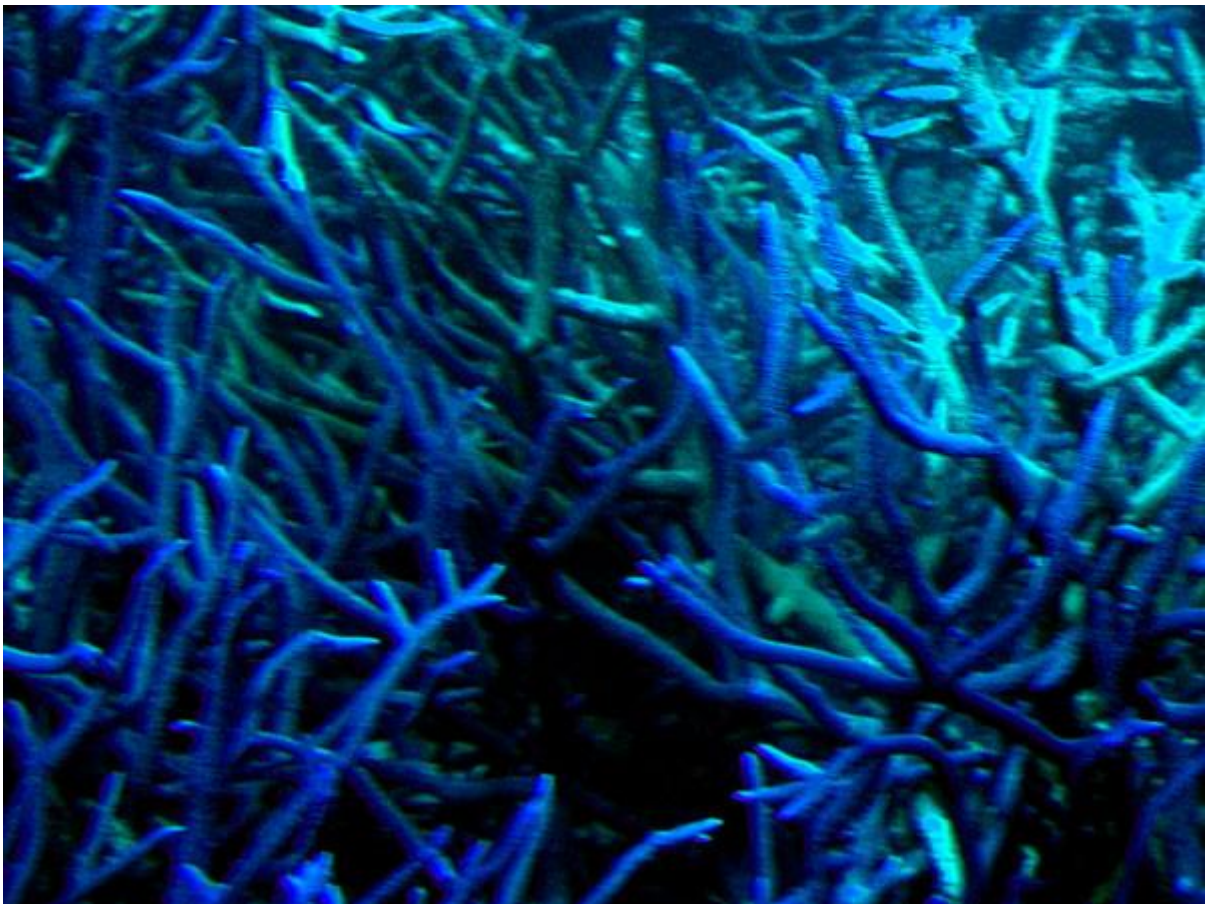
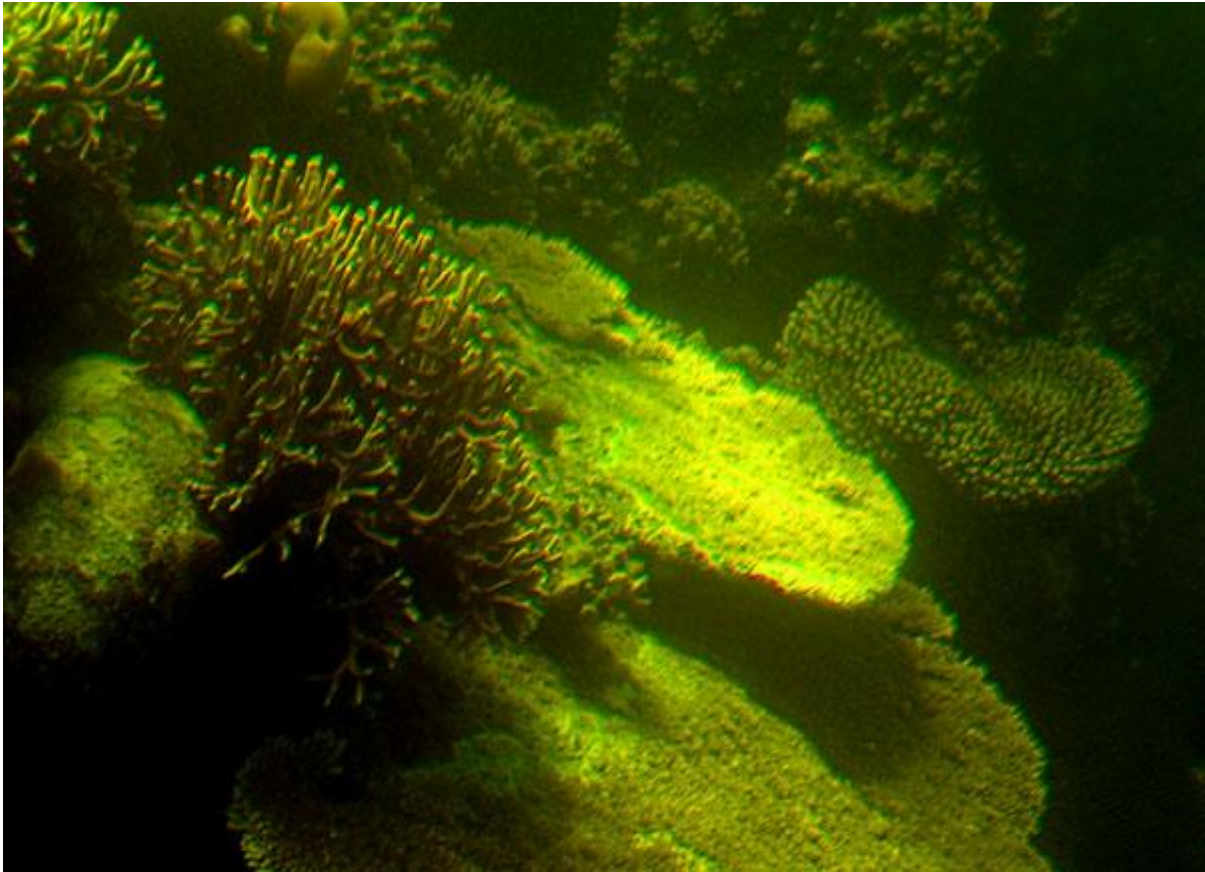


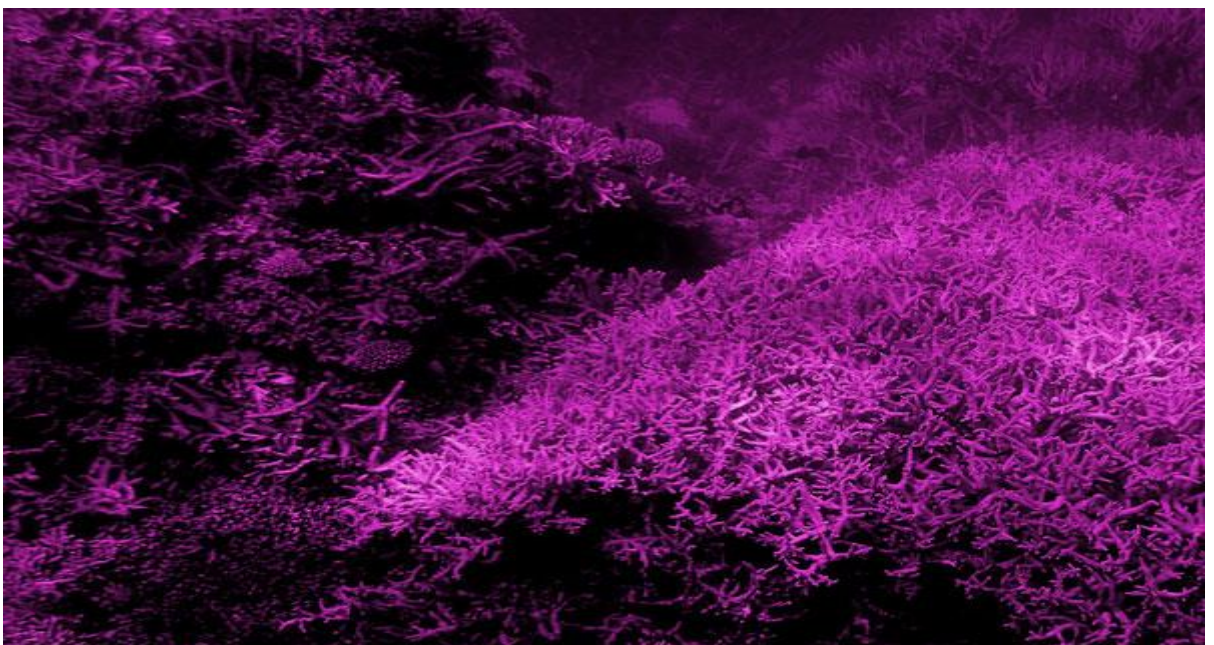
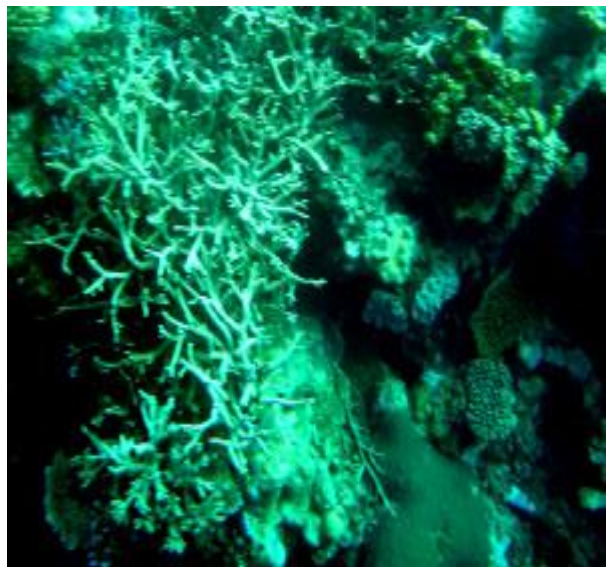
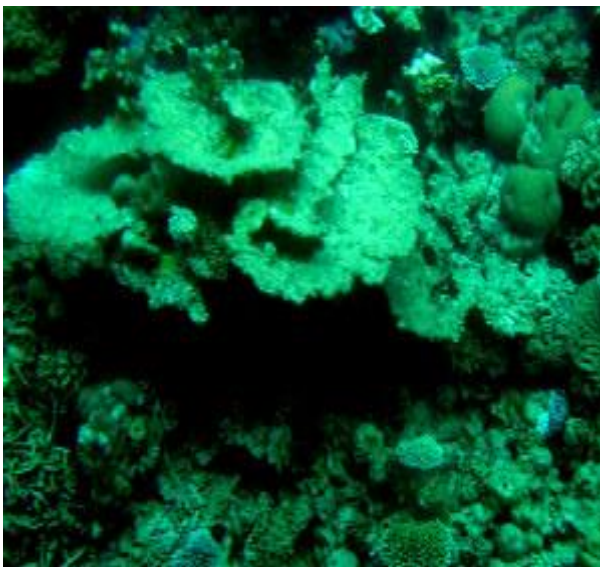
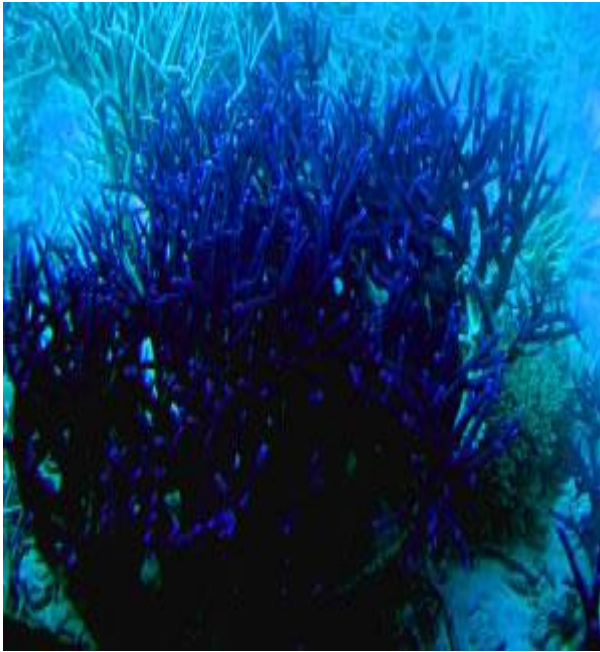
Mojemu zachwytowi towarzyszy zadziwienie, że nieokiełznana natura potrafiła stworzyć takie cuda. Mam przed oczyma bogactwo podmorskiej zieleni przeplecione błękitem gąbczastych pałaców, w których mieszkają wielkie żółwie i wielobarwne ryby. A na dnie bielutki jak mąka piasek. Wielka Rafa Koralowa jako park morski, objęta jest ochroną i wpisana na listę światowego dziedzictwa kulturowego. Jej powierzchnia wynosi 346 000 km. kw. Żyje tu ponad 2 tysiące gatunków ryb, 4 tysiące mięczaków, 400 gatunków koralowców i 500 gatunków wodorostów. Obszar Rasy rozprzestrzenia się na szerokości od 2 do 150 km, a jej wysokość wynosi 500 metrów. Jest widoczna z kosmosu jako biała smuga na morskim rozlewisku.



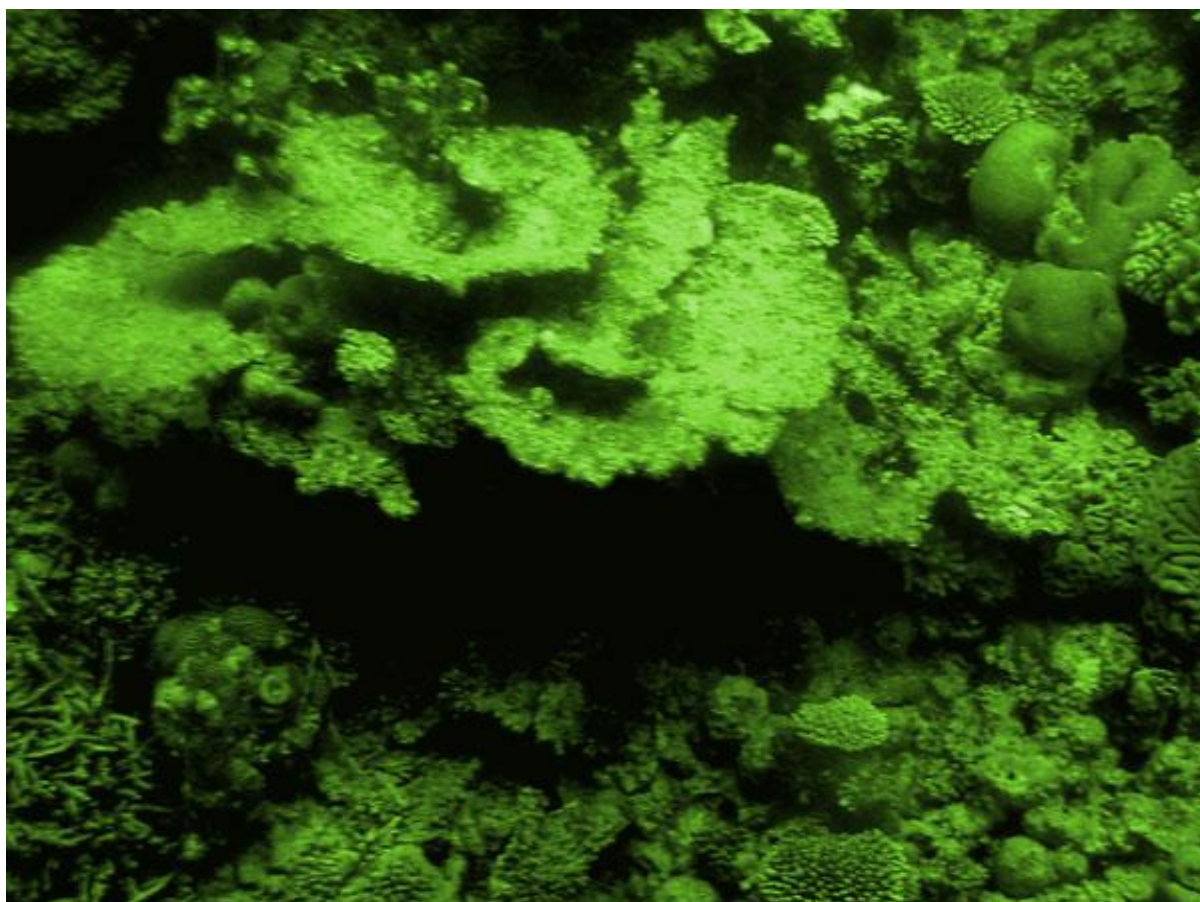


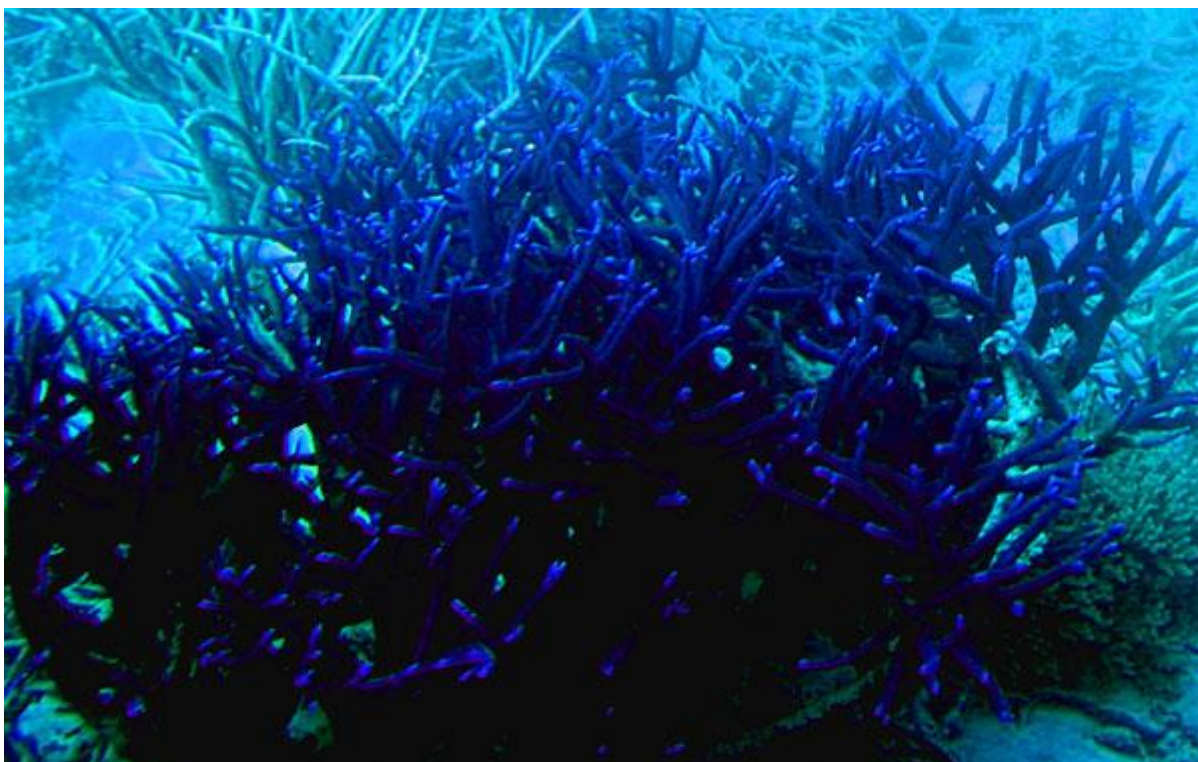






Przeżyłam tu bajecznie ekscytujący czas kontaktu z dziką naturą.





Katamaran umożliwiał przemieszczanie się to tu, to tam. Można było coś przekąsić, wystawić twarz do słońca, a potem znowu wejść do podwodnej łodzi i obserwować rafy.



Niektórzy pływali, nurkowali, inni rozkoszowali się widokiem morza, rozprawiali na różne tematy, słuchali muzyki, zawiązały się nowe znajomości. Do mnie przysiadła się starsza pani i wkrótce dowiedziałam się, że przyleciała na tę wycieczkę z Londynu. Miała anielską cierpliwość w rozumieniu mojego improwizowanego

angielskiego. Było w niej tyle życzliwości i ciepła. Wiedziała i podpowiadała mi, co jest w bufecie najsmaczniejsze i gdzie usiąść, aby mieć najlepszy widok na koralowce. Wygrzewaliśmy się na słońcu i zajadałyśmy pychotkami. Spędziłyśmy razem kilka przyjemnych godzin.

Późnym popołudniem katamaran podniósł kotwicę i wyruszyliśmy z powrotem do Portu Douglas. Wiozłam ze sobą worek wrażeń.

W porcie witały nas hostessy.



Wkrótce potem zajęliśmy miejsca w naszym autokarze u udaliśmy się z powrotem do Cairns.

Kłaniają się soczyste palmy, mijamy miasteczka.



Wieczorem kończy się ta moja pierwsza wycieczka. Z dala od Małgosi, Arka i od Sydney. Zachowam w pamięci piękno Wielkiej Rafy Koralowej, w której żyje ogromne bogactwo wodnego i wolnego świata.



Jutro kolejny odcinek mojej australijskiej przygody. Zaproszę Cię do Rain Forest, czyli do deszczowego lasu oraz do Kurandy. Zobaczysz także najprawdziwszych Aborygenów.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Renata Bednarz - Zielona Gałązka

www.renatabednarz.pl